CUD NA OLIMPIE



CUD NA OLIMPIE

Bardzo niedawno temu ukazała się na półkach księgarskich wielce sensacyjna książka pod fascynującym tytułem:

„Z PAMIĘTNIKÓW WULKANA“.

Niepospolite to dzieło, oparte na własnoręcznych notatkach sławnego boga Olimpu, zasługuje w zupełności na to, aby je pilnie i w całości przestudjować. Pragnąc dać naszym czytelnikom jakie takie o niem wyobrażenie, przytoczę poniżej najbardziej interesujący z całego utworu rozdział, który w oryginale nosi tytuł:

„CUD NA OLIMPIE“.

CUD NA OLIMPIE

STAŁA się rzecz dziwna, prawie do bajki podobna, a jednak prawdziwa.

Oto genjusze ziemi, po trzystowiekowym trudzie, stworzyli cud, z którym porównać się nie dadzą ani ogrody wiszące Semiramidy, ani Kolos rodyjski, ani latarnia w Faros, ani labirynt, ani... jednem słowem: cud nad cudy. Cud ten znalazł się wnet na Olimpie, jako że wszystko, co ziemia zrodzi najlepszego, na Olimp idzie w ofierze.

Za sprawą więc pobożnych genjuszów, tajemniczym sposobem, na samym szczycie Olimpu, niedaleko Jowiszowego tronu, w cieniu cytrynowego drzewa, stanęło to dziwo czerwone, błyszczące, okryte jak żółw pancerzem, z dwoma srebrzystemi gwiazdami — oczyma. Mieszkańcy boskiej siedziby zbiegli się z najskrytszych jej zakątków, byle choć z daleka przyjrzeć się niesamowitemu zwierzęciu, które stało spokojne, milczące, a dostojne. Wiadomo, że bogów i bogiń na Olimpie nie brakuje, więc też i tłok się uczynił niemały. Nawet kulawy Wulkan przyczłapał

się, porzucając swą pilną robotę, nawet wstydliwa Westa wyglądała wstydliwie z pod ramienia Minerwy. A Jowisz, bóg bogów i ludzi, aż podniósł się na swym tronie i przytknął do oka wypukłe szkiełko — dar hołdowniczy chińskich mandarynów i przedmiot zazdrości całego Olimpu.

Oczywiście, że cisza była obcą całemu zgromadzeniu... Rozmawiano głośno, tak nawet głośno, że biedny gnomik, któremu genjusze kazali doglądać czerwonego potworka, trząsł się biedaczek i dygotał ze strachu. Może też właśnie w celu przerwania dyskursów, zbyt hałaśliwych dla jego gnomiczych usząt, wsiadł na kark, a raczej wlazł do karku czerwonego potworka, pogłaskał go lekko, a ten wydał z siebie krótki, przejmujący rechot, warknął, jak rozwścieczony pies, i ruszył naprzód. Co się działo wtedy na Olimpie, co się działo! Na Polluksa, warto to było widzieć!...

Jak stado kuropatw, w które ciśnie ktoś z procy kamieniem, tak rozbiegli się na wsze strony olimpijczycy z szumem, piskiem i lamentem. Kto posiadał czarodziejską zdolność stawania się niewidzialnym, ten znikł niezawodnie, kto potrafił przemienić się w ptaka lub drobny kamyczek, ten napewno szybował wysoko, lub tulił się trwożnie do ziemi. Jowiszowi łysina pokryła się potem i nos poczerwieniał gwałtownie. Junona, dziwnym podobno trafem, znalazła się w ramionach Marsa — ale to są już napewno nikczemne plotki!

Nieprędko zapanował jaki taki spokój w królestwie bogów, choć potworek dawno się już wysapał, uspokoił i znowu stał nieruchomy, pozornie martwy, nieczuły na nic i obojętny na wszystko.

Bo teraz się właśnie zaczęła tragedja. Pokorny gnomik, zapewniwszy zgromadzenie o nieszkodliwości potworka, ofiarował się usłużnie pokazać sposób jego obłaskawiania temu, komu potworek przypadnie w udziale. Do tego zaś mieli pretensje wszyscy.

Stary Jowisz, ojciec bogów i ludzi, prawem swego wieku i urzędu, nie bacząc na powagę i podagrę, zdecydował się łaskawie wleźć w kark potworka (chociaż poprawdzie miał rzetelnego pietra) i tem samem przejąć go na swą niezaprzeczoną własność. Ale tu po raz pierwszy, jak Olimp Olimpem, zbuntowali się bogowie:

— Niech stary pilnuje swych piernatów i młodej małżonki, Junony, która djablo tej opieki potrzebuje, niech grozi ludziom, a nie im, władcom ziem i mórz.

Zgodzili się wszyscy, że nie dla Jowisza jest czerwony potworek.

„Nec Hercules contra plures" — sierdził się, przeklinał i groził stary Jupiter, ale w końcu, przed zgodnym chórem, ustąpić musiał. Teraz wszczęły się nanowo kłótnie i swary.

Mars, bóg wojny, użalał się, że jego rydwan zestarzał się, wyszedł z fasonu i wytarł ostatecznie, że Merkury, minister olimpijskiego skarbu, nie chce mu

wyasygnować odpowiednich sum na jego remont, że wobec tego, czerwony potworek winien stać się jego własnością i zastąpić mu rydwan, a to gwoli oszczędności i trosce o skarb. Zakrzyczano go, że ględzi i poradzono, ażeby poszedł się przespać. Podobnie rzecz się miała i z Apollinem, który racje swoje bardzo mądrze wykładał, tylko, iż na nieszczęście, nikt go nie słuchał. Nawet Wenus, słodka bogini miłości, rościła sobie pretensje do potworka, a to z racji jego czerwonego koloru, który jest właśnie kolorem miłości.

Kłócono się zawzięcie, bez przestanku, jako że bogowie są daleko wytrwalsi, niż ludzie. Nie wiem doprawdy, jakby się ta tragedja skończyła, gdyby nie Mojra los, który swą wszechwładną dłoń położył i na Olimpie i na czerwonym potworku.

A stało się to wszystko dzięki chytrości Wulkana, którego dawniej Hefajstosem zwano. Ten mistrz niedościgły w płatnerskiej robocie, mechanik niezrównany i majster nad majstrami, aczkolwiek niechętnie tu przyszedł i w kłótni żadnego udziału nie brał, zaczął miarkować coś, uważnie przypatrywać się potworkowi, ostrożnie go nawet dotykać, a potem wdał się w ciche dyskursy z gnomikiem. Wypadły widać po jego myśli, bo się uśmiechnął przebiegle i pokusztykał do Wenery, swojej ostatniej miłości, która jednak, jak dotąd, odpłacała mu czarną niewdzięcznością, zbyt widocznie zajęta pięknym Apollinem, lub Kwirynusem odważnym. Tym razem, o dziwo, szeptali coś z sobą długo!



Na Olimpie Wulkan miał osobną pracownię, rodzaj kuźni, w której wiecznie się żarzył ogień, słusznie olimpijskim zwany. Kulawy bóg chyłkiem opuścił kłócące się ciągle towarzystwo i zasiadł przy tym ogniu, po raz pierwszy w swem boskiem życiu, założywszy ręce i oddawszy się słodkim marzeniom bezczynności. Po raz pierwszy miał o czem marzyć...

Ale nie długo, bo oto dało się słyszeć lekkie skrobanie do drzwi i do kuźni wszedł gnomik, malutki, nieśmiały, przerażony kłótniami (bogowie mają lepsze gardła, niż ludzie), stęskniony do ziemi, pragnący za wszelką cenę na nią powrócić. Rozmawiali z sobą długo, Wulkan go do czegoś namawiał, namawiał...

A potem przyszła noc—na Olimpie są także noce. Do stojącego pod cytrynowem drzewem potworka zbliżać się poczęły trzy cienie: jeden malutki, drugi trochę większy i wysmukły, trzeci przesadkowaty i utykający na jedną stronę — gnomik, Wenus i Wulkan. Szli wolno, ostrożnie, oglądając się trwożliwie na wszystkie strony. Doszli i wsiąkli we wnętrzu potworka. Ten chrząknął, z okrągłych oczu trysnął smugami światła i począł się toczyć się naprzód.

Na Olimpie wszczął się gwałt. Przerażony Jowisz, nie wiedząc co się dzieje, otoczył się chmurą błyskawic, że niemal jasno się stało, jak w dzień. Teraz wyraźnie widać było zbiegów, którzy szalonym pędem staczali się z góry, w widocznym zamiarze ucieczki. Djana, Minerwa, Ceres, a nawet Westa, napeł-

niły lamentem cały Olimp, aż echo do ziemi donosiło ich jęki. Nie mogły doczekać się chwili, kiedy Apollo, Neptun i Mars, trzej bohaterowie Olimpu, założą wreszcie do rydwanów niesforne rumaki i puszczą się w pogoń za czerwonym potworkiem. Doczekały się wreszcie.

Na czoło pogoni wysunął się na swym rydwanie wiatronogi Apollo, któremu sił znakomicie dodawało pragnienie zemsty nad niewierną kochanką. Biedny Mars wlókł się na ostatku, bo mu rydwan odmawiał posłuszeństwa — klął też na czem Olimp stoi.

Ale niestety, nie Apollinowi, nie Neptunowi, ścigać się było z potworkiem, nad którym genjusze ziemi pracowali całych wieków trzysta. Prawie że go już dojrzeć nie mogli. Powrócili też wkrótce z niczem. Przepraszam, bo ze wstydem.

Przywitano ich gradem wymyślań. Kto wie, może i do bójki byłoby doszło, gdyby nie Junona, małżonka ojca bogów i ludzi.

— Czekajcie — krzyczała cienkim, przeraźliwym głosem — czekajcie, jeszcze nie wszystko stracone.

Dopadła do Jowiszowego tronu i trzęsąc bez ceremonji małżonkiem, wymownym gestem wskazała na pęk piorunów, który Jupiter miał zawsze pod ręką.

— Tem ich dosięgniem.

Stary Jowisz, który być może i cieszył się takim obrotem sprawy, opierał się zrazu natarczywym naleganiom małżonki. Ale kobiety wszystko mogą. Więc

i stary Jowisz, król bogów i ludzi, jedną ręką drapiąc się frasobliwie, drugą wyciągnął po straszliwy piorun. Stała się cisza... Zamachnął się, natężył i strzelił.

Cały Olimp patrzał badawczo w Jowiszowe oblicze, bo jeden już tylko Jowisz mógł dostrzec, błyszczące gdzieś w przestrzeni, oczy czerwonego potworka.

Król bogów i ludzi skrzywił się szkaradnie — chybił oczywiście. Ale cóż w tem dziwnego — taki pęd...

Junonie wymknęło się z ust niezbyt olimpijskie słówko.

. . . .

. . . .

. . . .

Tak oto znikli z Olimpu na zawsze: tajemniczy czerwony potworek, Wenus i przebiegły Wulkan.

Na ziemi dobrze im się działo. Wenus, która na Olimpie patrzeć nawet nie mogła na Wulkana, gdy ten jej dał perspektywę posiadania na własność czerwonego potworka, zgodziła się iść z nim choćby na koniec świata. Cóż ją wszystko obchodziło, byle tylko czerwony potworek był jej.

A Wulkan, że to nigdzie próżnować nie umiał i na ziemi zaczął uprawiać swe rzemiosło. Tylko, że

zbrzydło mu majstrowanie mieczów, zbrój i tarcz, bo te na ziemi wyszły już dawno z mody i żadnego nie miały zbytu, zajął się więc hodowlą czerwonych potworków. Sławne się one stały na cały ziemski świat, jako, że przez boga hodowane były.

Nazywały się zaś CITROËN'ami, bo tak je Wenus nazwała, na pamiątkę cytrynowego drzewa, pod którem ich antenat spędził swój dzień na Olimpie.



PRAWDZIWA HISTORJA O DWÓCH DOKTORACH
I O TEM JAK JEDEN Z NICH DRUGIEGO POGRĄŻYŁ

PRAWDZIWA HISTORJA O DWÓCH DOKTORACH I O TEM JAK JEDEN Z NICH DRUGIEGO POGRĄŻYŁ

FAKT, że w Patykowie nie było lekarza, dla czcigodnych mieszkańców tego znanego z historji miasteczka był przyczyną nieznośnych utrapień, nietyle może natury fizycznej (bo o doktorach różnie mówią), ile natury duchowej, idealnej. Bo proszę sobie wyobrazić, iż sąsiadujący z Patykowem Ozorków miał ich aż dwóch! Co za wstyd, co za hańba dla patykowskich patrjotów!

Co prawda, to ze swej strony Patyków chwalił się weterynarzem, felczerem i dwiema akuszerkami, podczas gdy Ozorków mógł im przeciwstawić tylko felczera i jedną akuszerkę, weterynarza nie posiadał wcale. Ale co doktór, to nie akuszerka — rozumieli to doskonale patykowscy patrjoci.

Naturalnie stan ten nie mógł trwać długo. Jakich dróg patykowianie używali, jakiemi środkami się wspomagali w celu wyrównania swych szans w rywalizacji z Ozorkowem, o tem kroniki milczą — dość, że pewnego dnia gruchnęła po mieście radosna wieść:

— „Doktorzy jadą“.

Jakoż przyjechało ich dwóch, nic o sobie nawzajem nie wiedząc. Dwóch, bo tego wymagał honor i ambicja miasteczka. (— „No bo proszę ja kogo, co Patyków jest gorszy od Ozorkowa“). Przyjechali, rozmieścili się w okolicach rynku, zakrzątnęli koło gospodarstwa i zaczęli praktykować.

. . . .

Doktór Dołęgowicz z wielkiem oburzeniem przyjął wiadomość o istnieniu w nieznacznej odległości kolegi po fachu. Gdy ostra forma tego oburzenia zwolna ustąpiła, oddał się, jak zwykł był czynić, chłodnej refleksji, której owocem były ważkie i brzemienne w następstwa słowa:

— Z torbami go puszczę.

Dr. Dołęgowicz słów nigdy na wiatr nie puszczał.

. . . .

Pierwszym krokiem ku urzeczywistnieniu tej zbożnej obietnicy, było wywieszenie na furtce od parkanu gipsowej tabliczki, na której czarne litery układały się następująco:

Dr. Dołęgowicz przyjmuje chorych od i t. d.

Dr. Dołęgowicz utrafił w sedno. Tabliczka taka była niezbędną przedewszystkiem z dwóch, b. ważnych powodów: 1) Ludność Patykowa, która od niepamiętnych czasów umiała się obchodzić bez doktora, nie odczuwała naglącej potrzeby do wywnętrzania się ze



swych ukrytych i zadawnionych dolegliwości. Tabliczka D-ra Dołęgowicza, działając na patykowskie ambicje, surowo przypominała, iż lekarz nie siedzi tu bynajmniej dla zadawalania tych ambicji, lecz że celem jego jest pielęgnowanie zdrowia mieszkańców, no i swej doktorskiej kieszeni. 2) Z Dr. Dołęgowiczem zaczął jednocześnie praktykować Dr. Ślepowroński. Gipsowa tabliczka miała właśnie odciągnąć uwagę patykowian od kolegi po fachu i skierować ją we właściwym kierunku, to znaczy w stronę lancetu (och!) i słuchawki D-ra Dołęgowicza. I byłoby wszystko w porządku, to znaczy, że Dr. Ślepowroński prędzej by poszedł z torbami, niżby ktokolwiek mógł przypuszczać, gdyby nie okoliczności, że i on choć nieco później wpadł na szczęśliwy pomysł wywieszenia na parkanie tabliczki z napisem:

Dr. Ślepowroński przyjmuje i t. d.

Cios odparto ciosem, podstęp podstępem. Dr. Dołęgowicz wpadł w jak najgorszy humor i przez dwa dni nosa poza swój parkan nie wystawiał, w obawie apopleksji, która go słusznie tknąć mogła na widok podobnego, jak to nazywał, małpiarstwa. Ale walka nie była skończona.

Pewnego dnia Dr. Dołęgowicz siadł na Joskową dryndulkę i na oczach połowy miasteczka pożaglował do wojewódzkiego grodu. Siedział tam dzień, czy dwa i w końcu wrócił. Wrócił, ale chyba nie Dr. Dołęgowicz. Wszyscy pamiętali jak wyjeżdżał w długich

butach, w kosmatej burce i w rodzimej maciejówce, a teraz wraca jak pierwszy elegant w powiecie. No bo posłuchajcie państwo: palto na nim czarne z aksamitnym kołnierzem, na nogach kamaszki, na głowie — na głowie coś niby cebrzyk, coś niby rondel (nie wiedzieli patykowianie, że to ostatniego fasonu cylinder).

Miasteczko wpadło w zachwyt — zrozumiało odrazu cały splendor jaki nań spada z racji okrycia głowy cenionego powszechnie Eskulapa. Niech Ozorków pokaże podobne dziwo.

Dnia tego Dr. Dołęgowicz był na wszystkich ustach, Dr. Ślepowroński stanowczo schodził w cień.

. . . .

I byłoby wszystko w porządku, gdyby nie nagła wyprawa D-ra Ślepowrońskiego i jego tryumfalny powrót. Żydowskie bachory twierdziły, iż jest on teraz jeszcze „fajniejszy“ niż Dr. Dołęgowicz.

Nie pytajcie lepiej jaki to wpływ wywarło na D-ra Dołęgowicza; humor jego zepsuł się fatalnie. Ale lew, który w nim siedział, nie dawał mu spocząć.

Minęło sporo czasu, podczas którego obaj lekarze dzielili się pacjentami zgodnie i po bratersku. (Nikt chyba nie potrzebuje wiedzieć, że to pacjenci dzielili się lekarzami). Aż nagle rozeszła się po miasteczku wiadomość, że Dr. Dołęgowicz kupuje dom.

Była to prawda. Kupił domeczek malutki, ubożuchny, ale w Patykowie uchodzący za „dom“.

A wszystko dlatego, aby mieć prawo do tytułu „obywatela miasta Patykowa i właściciela nieruchomości“.

Wrażenie było potężne, rozczulenie powszechne kazało płynąć nie jednym łzom. Jakże! Toż tym postępkiem stawał się on niejako synem sławetnego Patykowa, członkiem jego społeczeństwa, chlubą i dumą zarazem, chlubą, która z czasem i burmistrzem zostanie. Burmistrz Dr. Dołęgowicz — jak to ślicznie brzmi. A Ozorków to zdechnie napewno z zazdrości. Dr. Ślepowroński jakby przestał istnieć.

. . . .

I byłoby wszystko w porządku, gdyby Dr. Ślepowroński nie wpadł również na pomysł kupienia domu. Ale co zrobić, kiedy wpadł.

Dziw, że Dr. Dołęgowicz jeszcze żyje! Szanse się wyrównały, wszystko wróciło do „status quo ante“.

. . . .

Czas biegł i zdawało się, że słynne powiedzenie „z torbami go puszczę“ pozostanie na zawsze w krainie platońskich idei. Lecz ci, którzy tak twierdzili, nie znali D-ra Dołęgowicza.

Szykował on pocichu plan, który miał zetrzeć przeciwnika na miazgę, już ostatecznie i niechybnie. Plan prosty, ale genjalny właśnie przez swoją prostotę — wszystkie plany genjalne są proste. Jak zwykle genjuszom, tak i Dr. Dołęgowiczowi posłużył przypadek. Dr. Dołęgowicz miał chwalebny zwyczaj czytania ogło-

szeń (prenumerował gazety), co niestety nie zawsze można powiedzieć o t. zw. ludziach wykształconych (tyczy się to oczywiście i czytania ogłoszeń i prenumerowania gazet). Pan Bóg wynagrodził mu to też stokrotnie. Raz bowiem natknął się na ogłoszenie, które go silnie zafrapowało. Wyglądało mniej więcej tak:

CITROËN

ELEGANCKIE, EKONOMICZNE

SAMOCHODY

PODBIŁY ŚWIAT SWĄ TANIOŚCIĄ I ESTETYCZNYM WYGLĄDEM

CITROËN kosztuje tylko 5500 zł.

O samochodach Dr. D. miał dotąd dość mgliste pojęcie, wiedział tylko, że są one równie pożądane jak drogie. Zdziwił się więc niesłychanie: dobre, eleganckie, ekonomiczne i tanie, mój Boże i tanie.

Jego lotny umysł z błyskawiczną szybkością zaczął kombinować—Citroën kosztuje 5500 Zł., no, na tyle to chyba każdy może sobie pozwolić, nawet po kupnie „domu“. Zresztą odbiję go sobie prędko, i dom i samochód, bo, jak mówi kurjerek, przestrzeń nie będzie dla mnie istnieć, wszystkich pacjentów będę miał jak u siebie w poczekalni. No a przytem mój szanowny kolega....



Tu aż przysiadł z radości Dr. Dołęgowicz i oczy mu złośliwie błysnęły.... — „a mój szanowny kolega z torbami pójdzie!"

Słusznie wynoszono pod niebiosa nietylko lotność genjuszu D-ra Dołęgowicza, ale i szybkość wykonywania powziętych planów. Tego samego dnia zaniósł swą własną osobą na pocztę list, zaadresowany do firmy Citroën, Warszawa, ul. Wierzbowa № 6. Odpowiedź nadeszła prędko!

Po miasteczku zaczęły chodzić dziwne wieści. Opowiadano sobie, że Dr. Dołęgowicz wysyłał jakieś pieniądze do Warszawy, że spodziewa się jakichś gości, bo w swoim domu wyporządził mieszkanko (szofer), że na gwałt kazał opróżnić wozownię (auto), że pisuje jakieś listy, wreszcie, że.... albo ja już mogę wiedzieć, co wreszcie. Kto tam dojdzie, co w takim Patykowie gadano.

Aż pewnego dnia pękła bomba, bomba, o jakiej Patyków nawet nie śnił. Przed dom D-ra Dołęgowicza zajechał samochód.

. . . .

Rzućmy lepiej zasłonę na to co się działo w miasteczku. Nawet mrowisko, w które wetknięto kij, nie da się w przybliżeniu porównać do Patykowa w chwili, gdy Dr. Dołęgowicz uroczyście oznajmił, że właścicielem auta jest on, Dr. Dołęgowicz.

Hej, Boże mój, co to była za radość! Imienia Ozorkowa nikt nawet nie wymawiał bez splunięcia.

Alboż to miasto, alboż to Patyków? Hej, Boże mój, co to za splendor, co za chwała. O Dr. Ślepowrońskim nikt nawet i nie pomyślał. Toż mi dopiero doktór, prawdziwy, jedyny, sławny doktór, to Dr. Dołęgowicz. Niech żyje Dr. Dołęgowicz!

Tym razem wszystko było w porządku. Dr. Ślepowroński ogłoszeń nie czytywał, a o samochodach miał akurat takie pojęcie, jak i Dr. Dołęgowicz przed kupnem Citroën'a oczywiście. Biedny, nie wiedział, jak łatwo mógłby uniknąć nieszczęścia. Tylko kilka słów na Wierzbową....

A nieszczęście nie kazało długo na siebie czekać. Pacjenci z domu D-ra Ślepowrońskiego zniknęli tak, jak pchły po perskim proszku. Wszyscy przenieśli się tam, gdzie leczył „prawdziwy doktór", to znaczy ten, który pod dom pacjenta zajeżdżał ślicznym, nowiutkim samochodem, zaopatrzonym w tablicę z numerem auta i dwoma literami Pt. (t. zn. Patyków), otaczanemi specjalną czcią.

Przepowiednia D-ra Dołęgowicza zaczęła się sprawdzać. Dr. Ślepowroński zaczął szukać kupca na dom.

Tym kupcem oczywiście był Dr. Dołęgowicz.

. . . .

. . . .

. . . .

Ozorków stracił wszelką wartość w opinji Patykowa, a co gorsza, bo i w swojej własnej. Ozorków

miał dwóch doktorów, jednego felczera i jedną akuszerkę; Patyków miał dwóch doktorów (jeden obywatel miasta Patykowa, drugi b. obywatel miasta Patykowa), felczera, weterynarza i dwie akuszerki, nie licząc oczywiście Citroën'a. Citroën się niby nie liczył, ale wszyscy wiedzieli doskonale, że on to jest właśnie tym głazem, który najgłębiej pogrąża Ozorków.

WARSZAWA — 1925
Zakłady Graficzne Straszewiczów, Leszno 112

DRUK OFFSETOWY ZAKŁ. GRAF. STRASZEWICZÓW, WARSZAWA.